

NICZYM SMOK WAWELSKI

665

ROZMOWA Z ANNA DYMNA, AKTORKA, KTÓRA ZWYCIĘŻYŁA W KONKURSIE NA LWICĘ SALONU

— Gratuluję Pani, Czytelniczko wybrał Panią w konkursie na Lwicę Salonu...

— Dziękuję Czytelnikom, że wciąż darzą mnie zainteresowaniem. Jestem wprawdzie spod znaku Raka, ale fakt, że miałam być Lwicą, tylko trochę za wcześnie się urodziłam. Jak wiadać, nic w przyrodzie nie ginie i wreszcie zostałam Lwicą. A ponieważ kocham koty, a Lwica jest kotem, to bardzo się cieszę, że mogę uosobić taką właśnie postać. Poza tym, bardzo miło jest wygrywać, a mam nadzieję, że konkurs ten ma charakter pozytywny. Gorzej z salonem, bo miejsce to ma raczej zabarwienie snobistyczne, a ja tego nie nawidzę. Jestem tzw. człowiekiem publicznym, a więc zawsze gdy pojawia się w takich miejscach, to „robię za małą”: wszyscy na mnie patrzą i zadają te same standardowe pytania, na które muszę odpowiadać. Bardzo źle się czuję w takich sytuacjach, mimo iż sama scena powinna mnie już uodpornić na ludzkie spojrzenia i krytyczną ocenę. Ale tam przynajmniej mają mnie z czego oceniać. Na scenie nie muszę się martwić, czy jestem dobrze ubrana, czy coś mi się nie marszczy albo czy nie widać, że jestem zbyt gruba. Oczywiście, to nie znaczy, że nie pokazuję się prywatnie. Wiem, że ludzie mówią o aktorach co chcą — ale czasem biorę udział w prywatnych rozmowach przed kamerą o życiu — by widz dowiedział się czegoś „o mnie — ode mnie”.

— Czy jest Pani aktorką szczęśliwą?

— Chyba tak, bo szczęśliwie mi się złożyło, że te całe 25 lat w zawodzie spędziłam bardzo czynnie. Miałam wprawdzie przeświadczenia, ale krótkie. I zawsze mi się tak udawało, że jak nie film to telewizja, a jak nie telewizja — to teatr. Dziś myślę, że największą moją siłą i zdobyczą w życiu jest to, że nigdy nie opuściłam teatru. Teatr daje mi prawdziwą aktywność. Bo gdybym pewnego dnia rzuciła się na wody filmowe, jak kiedyś mi radzono, dziś mogłoby mnie już nie być w zawodzie. A tak, będąc w teatrze, mam swoje miejsce na ziemi, swoich przyjaciół i swój sens życia. Uciekam wprawdzie czasem gdzieś na bok, ale po to, aby wrócić. Jestem popularna, bo przez tyle lat jestem obecna. Niektórzy nawet się dziwią. Spotykają mnie takie śmieszne rzeczy: „Jezus Maria — to pani jeszcze żyje” — zapytała mnie jedna pani na ulicy. Albo podeszła do mnie kiedyś pani, chyba ponadpięćdziesięcio-



Nareszcie jest! Po bardzo długim oczekiwaniu (wakacje, urlopy), po wyraźnej już niecierpliwości ze strony Państwa, wreszcie udało się nam zakończyć nasz konkurs na LWICĘ SALONU POLSKIEGO!

Woła Państwa zwyciężyła nasza krakowska Gwiazda Teatru i Filmu — ANNA DYMNA i Jej przypada nasz salonowy tytuł. Gratulujemy Państwu wspaniałego wyboru!

Pani Ania zwyciężyła 872 głosami!

II miejsce i 79 głosów mniej — otrzymała Pani Anna Polony. Jednym słowem — na liście popularności aktorki górą! Brawo!

letnia i powiedziała: „Jak się cieszę, że panią widzę. Jak byłam młodą dziewczyną to już zbierałam pani zdjęcia”. Ale to wszystko dlatego, że 25 lat w tym zawodzie — to wiele. Wszyscy się przyzwyczaili, że ja jestem niemalże od zawsze. Jestem nadal popularna. Mimo że się zmieniam razem z czasem. Dostraję dużo listów od publiczności. Wiem, co oni o mnie myśleli, kiedy byłam młoda i kto mnie szanował, a kto nie. I wiem, że potem po urodzeniu Michała, gdy tak bardzo zmieniłam się fizycznie, odwróciła się lub zmieniła sympatia. Ale nadal mam swoich zwolenników. Choć inni z takim rozżaleniem do mnie pisali — proszę pani, nie może się pani straszć i świecić. Kiedyś, kiedy zagrałam w „Zaloba przystoi Elektry”, jakaś pani ze łzami pisała, że ja nie mogę grać złych, bo ja jestem ich kochaną Anią. Zresztą za „kochaną aktorkę” robiłam z 15 lat.

— Czy było to dla Pani męczące?

— Nie, na pewno nie. Jest to cudowne, ale dla aktora może być drażniące. Zawsze byłam ambitna, a od najmłodszych lat prowadziłam mnie najbardziej wymagający mistrzowie teatralni. W związku z tym nigdy nie byłam gwiazdą filmową i nie wiem, co by się dzisiaj ze mną stało, gdybym nią została. Miałam jednak szczęście. Już w szkole zetknęłam się z prawdziwymi mistrzami — m. in. Lidia Zamkow, Markiem Walczewskim, Jerzym Jarockim — którzy uczyli mnie rzeczy najważniejszych w aktorstwie: miłości, solidności, pracowitości, pokory i przekonania, że dla teatru warto żyć! Natomiast zawsze wiedziałam, że filmi kieruje się innymi regułami. Daje popularność, lecz często bywa niewdzięcznym kochankiem. Czego innego też wymaga od aktora. Gdy zaczęłam grać w filmie, miałam zaledwie 17 lat, dostalam się na rynek filmowy zupełnie normalną drogą — po próbnym zdjęciach. Wtedy jeszcze nie

nie umiałam, ale miałam buzię młodej istoty, a takie są na ekranie zawsze potrzebne. Grałam wtedy w różnych filmach — np. po premierze filmu „Szerokiej drogi, kochanie” przeczytałam: „Szkoła tylko tej małej Ani, którą porwała ekipa filmowa do takiego strasznego filmu. Mamusia powinna jej bardziej pilnować”. Często byłam wykorzystywana na zasadzie miłego pieska, którego się wpuszczano przed kamerę a on po prostu przed nią istniał — granie było wręcz wzbrownione. Ale w tym samym czasie w teatrze się uczyłam u największych U Konrada Swiniarskiego, Andrzeja Wajdy, Jerzego Grzegorzewskiego, Rudolfa Zioly, i od największych: Jerzego Trela, Teresy Budzisz-Krzyżanowskiej, Jerzego Bińczycyckiego, Jana Nowickiego, i od całego, wspaniałego zespołu mojego Starego Teatru. I uczę się nadal, choć jestem już „wielką, trochę wypłowiałą” Lwicą.

— Nie zgadzam się na „wypłowiałą” — jeśli mówi się o Pani „nasza Ania”...

— Jeżeli ktoś przez 25 lat cały czas jest w Krakowie i ciągle o tym mieście mówi, że jest najwspanialsze na świecie, to trudno się dziwić, że mieszkańcy tego miasta uważają mnie za swoją własność. Kilka dni temu, gdy wracałam ze szkoły, w której uczy się mój syn i przechodziłam przez Kleparz, wybiegł pan z budki, wręczył mi bukiet róż i powiedział — Proszę pani, wcześniej po Gdańsku nie zdążyłam, ale pani się to należy. Dziękuję za wszystko. Czuję, że zaczynam już powoli funkcjonować jako smok wawelski. Kiedyś na Rynku podeszła do mnie cała wycieczka z prośbą: Proszę pani, mamy już zdjęcie z Wawel, z Sukiennicami, ze smokiem, ale z panią jeszcze nie mamy. I to chyba jest moim największym sukcesem życiowym.

— Dobrze więc, że „smok wawelski” raz na jakiś czas jest normalną aktorką...

— Całe życie jestem największym człowiekiem i powiem szczerze, że mi to sprawia wielką przyjemność. W pewnym sensie jest to moja pasja, bo w zawodzie, jak wykonuję, bywa tak, że gdy się bardzo dużo pracuje, to największym zwycięstwem jest pozostać normalnym. Często trzeba o to walczyć, nawet przeciwko publiczności! Albo przeciwko określonej stereotypowi gwiazdy — duża suknia, alkohol, limuzyny, kochankowie, bogactwo, frustracja, maniera. A nie jest to prawda. Całe życie jestem normalna, choć jest to nieraz okupione ogromnym wy-

siłkiem. Jeżeli mam tylko teatr, to spokojnie mogę być jeszcze matką i gospodynią. Rano idę do teatru, potem ugotuję obiad i zrobię jakieś przetwory, pójdę do teatru, potem zrobię pranie itd. I takie życie jest cudowne, gdyż wszystkie czynności się uzupełniają. Gdy jeszcze wśród obowiązków dochodzi mi praca w telewizji, to już tylko w nocy mogę być normalną kobietą. Ale jeżeli cały miesiąc spędzam w pociągu jeżdżąc na zdjęcia, to wykonuję heroiczny wysiłek, aby życie moich bliskich toczyło się w miarę normalnie. Gotuję wtedy na tydzień obiad i spisuję mężowi listę, gdzie i co w zamrażalniku leży. Dziecko musi mieć normalną matkę, a nie artystykę, i normalny dom. Czasem moi koledzy aktorzy narzekają na natłok zajęć. Ale oni są mężczyznami, którzy mają żony. To one robią im na drogę kanapki, pokują walizki i zajmują się dziećmi. A ja, kobieta muszę sama zadbać, aby podczas mojej nieobecności dom funkcjonował normalnie.

— Czy nigdy w życiu nie myślała Pani o rezygnacji z zawodu?

— Parę razy w życiu los mi gotował taką niespodziankę. I dopiero gdy mi to groziło, wiedziałam, czym ten zawód dla mnie jest. Zawsze jednak w podświadomości łączyłam siebie z aktorstwem. Jeżeli jest się potrzebnym aktorem i kocha się ten fach, aktorstwo jest wspaniałym zawodem. Jeżeli się nie jest potrzebnym aktorem, to życie jest upokarzające i nieszczęśliwe, a jeżeli się go nie lubi — jest to zawód obrzydliwy. Brudny, niezdrowy i stresujący. Tyle lat gram, a przed premierą nie jem, nie śpię, trzęsę się, i nie da się ze mną rozmawiać. Tak właśnie reaguję na premiery, które przecież uwielbiam. Na scenie poruszamy się w kurzu, oparach farb, grając blisko — piujemy na siebie. Czasem w filmach trzeba się zbliżyć do obcych ludzi i całować się z nimi — to nie jest najmiłsze. Pracuję się z różnymi reżyserami i aktorami. Trzeba znosić ich zachowanie, właściwie to jest straszny zawód — lecz równocześnie najpiękniejszy. Dzięki niemu poznałam wielu wspaniałych ludzi, zwiedziłam dziesiątki krajów, no i wygrałam konkurs na Lwicę Salonu. Teraz mam prawo wejść do gabinetu Lwi Salonu — Tadeusza Piekarczyka i razem z nim porywać.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała:
AGNIESZKA MALATYŃSKA-STANKIEWICZ